



ARTUR GRUSZECKI POD CZERWONYM WIRCHEM

3

Jakaż ona nieszczęśliwa, opuszczona, samotna, nikogo nie ma na świecie. I tak się rozżaliła nad sobą, że popłynęły świeże łzy.

Były to jednak przebiegły ból i żalu, podkowane przez zranione uczucie, to zrozumiała i postanowiła zimno zastanowić się nad wszystkim, obliczyć się z możliwymi następstwami.

Pierwsze pytanie, które jej się nasunęło z konieczności, było, kto temu winien, że zmarnowane ma życie, że wszystko wokół jest takie liche, smutne, przykre. Naturalnie tylko on winien, mąż! Była młoda, niedoświadczona, niewinna. On wmówił w nią, że z nim będzie raj, radość, szczęście, miłość... i było; zaśmiała się nerwowo, jest Ninka, chora, drażliwa, uparta jak on, samowolna, i nawet ma jego usta zmysłowe. Nieszczęśliwe dziecko... nie dość, że odziedzicza tyle wad i chorób po rodzicach, ale i żadnego majątku mieć nie będzie.

On napewno wszystko straci. Teraz zachciewa mu się podróży, naturalnie na hulatykę, na karty, może na dziewczęta. Zadłuży się, straci zdrowie, majątek, opinię, a tu gospodarstwo zmarnieje. Wszystko rozkradną, zniszczą, może na zasiew nie zostawia, jednym słowem ruina majątkowa pewna. A on wybiera się w zbytkowną podróż, gdy buraki jeszcze w polu i czekają pogody, ażeby dostawić je do cukrowni.

I to nazywa się gospodarz!

Po chwili przyszła do przekonania, że i jej posag, o którym mówił, że jest zabezpieczony, zabiorą dłużnicy na pokrycie swych należności.

W ten sposób Ninka i ona zostaną bez grosza. Ale dlaczego on wyjeżdża? Nudzi się, szuka wesołości, zabawy, hulatyki, bo pewno gnębia go stosunki materialne, bo jeśli on, co tak przed nią kłamię, przyznał się jej był wówczas do przegranej siedmiu tysięcy rubli jednego wieczora, to z pewnością musiał przegrać dużo, dużo więcej. A teraz widzi ruinę i szuka zapomnienia, ale ją zostawia i dziecko na pośmiewisko i upokorzenia.

Przypominały jej opowiadane i czytane szczegóły o licytacjach, tak i tu wszystko pójdzie pod młotek. Meble, dywany, suknie, bielizna, srebro... i stanęło przed nią widmo nędzy i upokorzenia.

Co tu robić? Co począć? Załamywała białe ręce i ścisnęła je kurczowo.

Nagle błysnęła jej myśl o samobójstwie!... To będzie najlepiej, minie udręka, zginie męczarnia, nie ujrzy nieszczęścia, ruiny, i nastanie spokój, cisza, a ona tak tego pragnie i pożąda.

Zatopiła się z przyjemnością w rozmyśleniach o śmierci. Widziała siebie na katafalku, słyszała śpiew pogrzebowy, uderzenia dzwonów, grób otwarty...

Zapukano lekko do drzwi ze strony dziecinnego pokoju i Ninka zawołała:

— Mamusiu, można?

Wzdrygnęła się na ten głos i siląc się na spokój, odpowiedziała:

— Wejść, ale na chwilę tylko, głowa mnie boli.

Ninka wbiegła, ciągnąc wózek za sobą i mówiła wesoło:

— To prawdziwy wóz... zaraz przyniosą siano i zwiozą do brogu.

— Dobrze, Ninko, tylko nie tutaj.

Dziecko obejrzało się wokół i zawołało:

— Mamusiu, tylko jedną furę pod biurko, to będzie bróg.

— Nie! Nie można, — dotykała ręką rozgoryczkowanej głowy.

— Ale dlaczego mamusia nie pozwala bawić się Nince? Mamusia zawsze smutna, siedzi, czyta, zamiast biegać, bawić się, śmiać... A może mamusia zaśpiewa, tylko coś wesołego!

— A coś smutnego nie lubisz?

— Niecierpię! — zawołało dziecko z naciśnięciem.

— Ojciec, wykapany ojciec! — pomyślała z gorczy.

— Mamusia lubi tulać się po sianie? — spytała nagle.

— Nie, a ty?

— Bardzo lubię, wszędzie kłuje i tak pachnie, tak miękko!

— Zmysłowa, jak ojciec! — patrzyła niechętnie, niemal z obrzydzeniem na dziecko i rzekła surowo:

— Idź już! głowa mnie boli. Męczysz mnie!

Ninka nadąsała się, wydeła usteczka i wyszła bez słowa, zamykając ostro drzwi za sobą.

— Zupełny ojciec! — pomyślała niemal rozpaczona.

I co z niej będzie, jeśli ja umrę? — wróciła do myśli o samobójstwie, — najnieszczęśliwsza istota! Nie wolno mi przecież zostawiać nieszczęśliwego dziecka, które urodziłam, muszę żyć dla niego, nie dla siebie.

Znów opadły ją smutki, przeczucia czarne, obawy nieokreślone...

W oznaczonej porze przyszedł Paweł, pytając, czy ma podawać kolację.

— Dobrze, ale ja nie przyjdę, głowa mnie boli.

Nazajutrz przyszła Róża, panna służąca, i stanęła przy drzwiach.

— Czego? — spytała pani Wanda.

— A to względem gości.

— Cóż takiego?

— Przyjedzie osiem panów, będą nocowali i jaśnie pan kazał mi przygotować pokoje i pościel.

— To przygotuj.

— Kiedy nie wiem, gdzie i jak?

— W gościnnych pokojach czterech...

— Jeden zajmuje stryj jaśnie pana.

— Więc dwóch w gościnnym, dwóch w gabinecie pana, dwóch w kancelarii pana...

— To wiem, ale zostaje dwóch...

— Hm... gdzie ich dać? — zastanawiała się pani Wanda.

— A gdyby Ninka przeniosła się na ten czas do gabinetu, tutaj?

— Czyj to pomysł? — nachmurzyła się.

— Jaśnie pan mówił.

— To niemożliwe, — ścisnęła brwi, — dziecko musi mieć swój pokój i swoje wygodę. Cały dwór jest do rozporządzenia, tylko nie dziecinny, mój gabinet i moja sypialnia.

— Gdzież ich pomieścić?

— Gdzie pan każe... w salonie, w palarni, w oficynie... miejsca dosyć. Pościel żeby była czysta, poduszki i kołdry wziąć ze składu.

— Słucham, ale...

— Dosyć, — zawołała surowo, — zrób, co ci każe.

I znowu fala żalu i gniewu na męża napłynęła. Nie dość, że sprasza gości do siebie i dla siebie, ale jeszcze żąda pokoju dziecka. Co za wstrętny samolub! Wiedziała, że mnie przestał już dawno kochać, i pewno nienawidzi, ale nie kocha nawet dziecka i dla swej przyjemności poświęca zdrowie i spokój Ninki. Dziecko przyzwyczało się do swego pokoju, zabawek, do swobody, a tu aniby się wyspało, ani wykapało w swoim czasie, nie użyłoby ruchu i napewno rozchorowałoby się po dwóch dniach. Ta Ninka taka nerwowa, drażliwa, taka, to nienaturalnie wesoła, to znów smutna, nie miałaby swego pokoju, zaśknęłaby się tutaj, ale dla dogodzenia swej fantazji poświęca dziecko.

Do obiadu nie poszła, postanowiła bowiem nie pokazywać się gościom, i obawiała się, że może w czasie obiadu ktoś się zjawi.

Popołudniu zaczęli zjeżdżać się goście, ażeby nazajutrz skoro świt ruszyć do lasu.

Pani Wanda w skromnym, popielatym szlafrocisku czytała w swym pokoju, nasłuchując mimowolnie ruchu i gwaru we dworze.

Wieczorem przyszła do niej ciotka, zawiadomiła, kto przyjechał, kogo oczekują, i dodała, że rozstawiono dwa stoliki do kart, a Paweł dostał rozkaz przygotowania przekąsek zimnych około północy.

Pani Wanda dość obojętnie wysłuchiwała nowin i spytała:

— Kolacja była dobra?

Ciotka sądząc, że dysponowała ją Wanda, powiedziała z uśmiechem:

— Doskonale, Michaś był uradowany, bo nadzwyczaj chwalono szczupaka szpikowanego słoniną i ostre masło do pieczenia.

— No, i obeszło się bezemnie, — uśmiechnęła się z przymusem, — niechże sam dysponuje kucharzowi.

Spostrzegła ciotka swój błąd, ale już było za późno, pogadały chwilę i ciotka odeszła.

Pani Wanda poczuła się dotknięta, że kolacja się udała i mąż tryumfuje. Pocieszała się tem, że mąż pewno z godzinę konferował z kucharzem i ani zajął do gospodarstwa, ale u niego tak zawsze, pierwsze podniebienie, a dopiero praca, to też wszystko chyli się ku upadkowi.

Na drugi dzień, pod wieczór, gdy myśliwi przyjechali z polowania, wbiegła Róża zdyszana i mówiła:

— Proszę jaśnie pani, przyjechała pani Świkalska z bratem, pytała o jaśnie panią.

— Cóż odpowiedziała?

— Że jaśnie pani chora.

— Gdzie jest pani Świkalska?

— Starsza pani ją przyjęła w salonie.

Pani Wanda spojrzała na swój skromny szlafrocisk, miała na razie ochotę wziąć inny, ale uśmiechnęła się lekceważąco i rzekła:

— Przepraszam panią, że wyjść nie mogę, ale bardzo proszę, żeby mnie odwiedziła, — ogarnęła okiem gabinet, kazała to i owo postawić inaczej i powtórzywszy swe zlecenie, czekała.

Pan Michał, dowiedziawszy się od Róży o poleceniu żony, sam oznajmił o tem pani Świkalskiej:

— Może pani raczy przejść do Wandzi, ona cierpiąca, a oprócz tego mam gorącą prośbę do pani.